ROK CZWARTY.

№ 43.

WARSZAWA

D. 11 (23) październik-nika.

1859.

Niedziela

19ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie; lecz podług nowych przepisów, w jednej kopercie jeden tylko egzemplarz Czytelni, tak jak każdego pisma peryodycznego, przesyłany być może.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Udziel z twej łaskawości, prosimy Cię Panie, wiernym twoim przebaczenia i pokoju, iżby od wszystkich przewinień byli oczyszczeni, i spokojnym umysłem stale Ci służyli. (Kollekta na Niedzielę 19tą po Świątkach).

Przy wodociągu.

— Chyba jakie złe licho naraiło, ale nie ludzie tę służbę, w której teraz jestem; a toć potrzeba codziennie z mojem państwem straszne piekło wyprawiać. Mało już nie oszaleję; od świtu do zmroku haru, haru, ni pieniędzy ni towaru; skąpstwo niesłychane, z wszystkiego cię wyliczą: na to grosz, na to dwa, na to trzy, że ani rusz nie można nic sobie uskubnąć. Już to prawdę mówią: co urzędniczka, to za grosz drzewa, za grosz świeczka. Nie wiem nawet czy kwartału dobędę; jak Pana Boga kocham, pójdę gdzie mnie oczy poniosą. Bo czy wy wiecie, mówiła dalej Marysia, służąca od państwa Szlaskich, uprzątnąwszy wszystko, co do mnie należało, jak się wszyscy pospili, ja pocichutku otworzyłam drzwi i poszłam sobie na tańce do Sztambucha na Gołębiej ulicy, i hulałam całutką noc. Pan wstał wcześniej, mnie nie zastał w kuchni, i za to, że drzwi otwarte zostawiłam i bez pozwolenia poszłam, zawołał policyanta, i odesłał mnie na Ratusz. Myślał, że mnie tam strasznie ukarzą, a ja dopiero wróciwszy późnym wieczorem do domu, powiedziałam, żem siedziała w areszcie i żem obita, a my spacerowali po Saskiej-Kępie oboje.

— Nie wyrzekaj tak Marysiu, zagadła Józia, bo ze mną jeszcze gorzej. Ja służę, jak to nazywają w Warszawie, u pana fabrykanta obuwia, to znaczy u szewca — a pamiętasz, jak to u nas na wsi mówili, że u szewca tyle zysku, co wyciągnie skóry w pysku. Rano budzą, trzeba gotować dla czeladzi i chłopaków; pracuję od rana do późna w noc, jak wół w jarzmie. Czyż byłam aby raz tej zimy u Figlera, albo pod trzema Murzynami?.. a tam się tak ślicznie bawią, że aż dusza piszczy.

A prawda! kilka razy wziąwszy pokryjomu najlepsze sukienki pani szewcowej, byłam i to do późna w noc na Srebrnej sali; ale jak się to wydało, pani majstrowa do mnie, a ja niewiele myślący, jak ją palnę garnkiem w łeb, aż jej siniak wyskoczył. Za to dostałam porządne wały na Ratuszu—albo to ciało ze szkła, żeby się potłukło?.. dość, że i ja nie będę.

— Albo ja, dodała trzecia służąca Kasia, jestem u pana stolarza. Zbieraj wiórki, co z warsztatu na ziemię spadną i przy nich gotuj obiad dla wszystkich. Na drzewo nie dadzą, bo mówią, że drogie, do miasta sami chodzą i kupują, i wydzielają pod miarą; a wiecie, żem raz dwa funty masła wzięła i przylepiłam pod spodem stołu. Pani stolarka szuka, prosi, zaklina mnie, a ja się sumituję, że nie wzięłam—i znaleść nie mogła. Nawymyślała mi, a ja potem masło sprzedałam żydówce i miałam pieniądze dla mego Jakóbka na bawara. Cóż miałam robić, kiedy wszystkiego tak tam skąpo jakby na léki. Już to co stolarz uhébluje, przy tem obiad ugotuje, śpiewają chłopaki po ulicach; ja też myślę nie być dalej.

— Ale co to naszej Basi nie widać?.. tej dziewuchy żadnym sposobem nie możemy przekabacić na swoje.

Tak rozmawiały sobie trzy służące przy wodociągu na Nowem-mieście w Warszawie, siedząc prawie od 4 do 6 godziny zrana na konewkach, i obgadywały swoje służby, swoich państwa, że aż uszy bolały słuchać. Były to dziewki wiejskie, już od lat 4 chodzące po służbie w Warszawie. Utraciły już wstyd, polubiły próżniactwo, tańce i trunki; po takich służących nic dobrego spodziewać się nie można.

Kiedy tak się zagadały, nie spostrzegły, jak nadbiegła z kamienicy od Sakramentek piętnastoletnia dziewczka, w czyściutkiej białej jak śnieg spódniczce, w gorseciku czerwonym. Jak wisienka dojrzała latem: włosy ładnie uczesane w dwa warkocze i modrą wstążeczką naplecione, trzewiczki i pończoszki czyste — żwawa, gdyby wiewiórka, na imie jej Basia.

Z oburzeniem przysłuchiwała się tej rozmowie 3 służących, które były z tej samej co i ona wioski; z gniewem więc rzekła do nich:

— Już tak dawno siedzicie przy studni i obgadujecie swoich państwa, a same rozczochrane, zaszargane, nieumyte, aż niemiło na was spojrzeć. Lepiejbyście szły do domu i robotą się zajęły, nie napróżno czas marnowały.

Wszystkie trzy zerwały się z konewek, już nie przywitały Basi, lecz z pięściami przyskoczyły do niej, krzycząc: patrzaj ino, smarkata, nie ma jeszcze roku, jak przywędrowała zkądsiś tam i nas chce rozumu uczyć. Jaka poczciwa! Stul gębę, bo ci ją stulimy; ty chłopko z nami się nie brataj... przypatrzcie się ino jej, jak to chodzi jak proste dziewczysko, i możnaż się z takim głąbem zadawać?

— Wiecie co, mówiła jedna, ona chciała, żebym ja z nią do kościoła raz poszła w niedzielę i to razem, w takim jak dzisiaj jest ubiorze; ani parasolki, ani rękawiczek, ani sukienki z mantylą, ani kapelusza; ślicznie bym przy niej wyglądała!

To prawda, mówiła druga, ja nawet do miasta kiedy idę za swoją panią urzędniczką, a rękawiczki, parasolkę i kapelusz, choćby na Pociejowie kupione, muszę mieć na sobie. Pani się ze mnie śmieje, a ja sobie paraduję.

— Idź sobie precz i nie rozmawiaj z nami, zawołały na Basię wszystkie trzy razem, bo jak nasi kawalerowie by zobaczyli, toby się z nami wstydzili iść na spacer.

Zaczerwieniła się Basia, jakby ją kto krwią oblał, łzy żalu jakby krople rosy na listkach róży, na jej rumianem licu błyszczały. Łkając, prawie z płaczem przemówiła:

Mój mocny Boże! to ja prosta chłopka, a cóżeście wy lepszego odemnie? Przecie ja pomnę, jakeście wszystkie trzy z naszej wioski wychodziły do Warszawy, a moja nieboszka matusia błogosławiła was na drogę, mówiąc: bądźcie uczciwe i pracowite; ludzie was kochać będą, na chleb wam nie braknie i Bóg was nie opuści — a jeśli moja Basia żądałaby waszej pomocy, to jej nie odmówcie, ale jak siostrzyczce doradźcie, boć to bliska wasza krewniaczka. Niechaj wam za dzisiejsze rano Bóg odpuści, jak ja nie pamiętam, żeście mnie tak odepchnęły od siebie.

Wszystkie trzy odwróciły się od Basi, nie chcąc ani jej słuchać, ani nawet spojrzeć już na nią, chociaż ona przy nich wyglądała jak lilja przy łodygach zwiędłego chwastu. Ona też powiedziała im: kiedyście nie chciały ze mną iść do kościoła, wstydzicie się mojego prostego ubioru, bywajcie mi zdrowe. Pan

Bóg mnie nie opuści, i wam nie będę się naprzykrzać więcej. Ubioru, w jakim wzrosłam, nie odmienię, do szynków ani na tańce chodzić nie mam ochoty, chociażby mi moje uczciwe państwo nie bronili, gdybym iść chciała— i napompowawszy wodę do czystej jakby szklaneczka konewki, wróciła zapłakana do domu.

Żal jej było, że ją krewniaczki tak odtrąciły od siebie, że ją tak sponiewierały. Powiedziała to państwu, u których jak tylko przyszła do Warszawy, zaczęła służyć. Ci pocieszyli ją dobrą radą, współczuciem, i odtąd jeszcze więcej przywiązali się do szczerej i uczciwej Basi. Było to na końcu kwartału; wszystkie więc wydaliły się z okolic Nowego-miasta,- Basia zaś służyła u państwa W... tokarzów. Mąż rano pracując z czeladzią w skromnym warsztacie, od lat kilku dopiero założonym, dorabiał się chleba; żona jego trudniąca się szyciem bielizny karmiła dziecię u piersi, a było i drugie, co zaczęło dopiero chodzić; w 15to-letniej przeto Basi, cichej, skromnej, pracowitej, nie służącą, ale przyjaciółkę i siostrę mieli, tak dalece, że po 5 latach u nich służby nie nazywali jej inaczej, tylko bliską krewną.

A śliczną też była ta Basia... nieraz gdy szła z państwem na Bielany, albo do Kaskady, albo w pole z dwojgiem dzieci, to ludzie przystawali aż na ulicach, żeby wiejską dzieweczkę ujrzeć. Lecz ona gdziekolwiek poszła na miasto, wracała natychmiast, albo sama idąc z dziećmi, nie szła po głównych ulicach, żeby ją paniczki nie zaczepiali i niepoczciwe słowa gadali, tylko zawsze skromna, cicha wracała bocznemi do domu.

U państwa W. pracował w warsztacie czeladnik, młody chłopak Kasper, także sierota, a niemniej do roboty jak ogień. Posłuszny jak dziecko, a czeladnik jak to mówią zawołany; spoglądał on uczciwem okiem na ładną Basię, i kiedy mówił do niej, to tak nie śmiało, tak lękliwie, jakby to chłopię, co ludzi i miasta nie znało.

Basia lubiła pana Kaspra: spokojny, trzeźwy warsztatu, pilnował, dla pana majstra i pani majstrowej był zawsze szczery i przychylny. Lecz nigdy nie myślała o tem, aby ona tak była szczęśliwą i jego dostała za męża; zawsze mawiała: trzeba wrócić do swojej wioski i do swych krewnych.

Jak to mówią: chłop strzela, Pan Bóg kule nosi. Kiedy już Basia miała lat 20, a pan Kasper 27 skończonych, przyszedł pan Kasper raz do swoich państwa i zaczął mówić nie śmiało, że pragnąłby się ożenić, i na siebie już pracować.

— Dziesięć lat już jestem u państwa, trzeba teraz i o sobie pomyśleć.

— Dobre mój p. Kasprze masz zamiary, i jak będziemy mogli, tak ci dopomożemy; ale z kimże się chcesz żenić zapytała pani majstrowa.

— Na to zapytanie pan Kasper prawie oniemiał; zaczął dokoła spoglądać, bladł, rumienił się, nareszcie cicho wyrzekł, że chciałby z Basią, tylko nie wie, czy go będzie chciała.

Radość państwa tokarzów była bez granic.

— Patrzaj panie Kasprze, ty sierota poczciwy, pracowity, ona sierota także, a dziewucha do Boga i ludzi; sam Pan Bóg was błogosławić będzie.

Przywołano Basię; nie było tam długich korowodów i pan Kasper i panna Barbara byli tego dnia bardzo szczęśliwi.

Ślub naznaczono za trzy tygodnie, na dzień Matki - Boskiej Gromnicznej, dnia 2 lutego 1850 r.

Zaledwie ranek błysnął złotem słoneczkiem, ziemia ubrana śniegiem świeciła po utorowanej drodze sankami, jak gdyby kto kamienie drogie porozsypywał.

Pan Kasper, panna Barbara szli pieszo do kościoła, za nimi państwo tokarzowie i kilka jeszcze przyjaciół do ślubu.

Pan Kasper był w granatowej czamarce, w białej chustce i płaszczem odziany.

Panna Barbara na głowie uplecione dwa warkocze, w nich gałązka mirtu, spódniczka biała, gorset, modry, i na tem tak nazywana dzisiaj *chłopka*, z czarnego sukna, wyszyta taśmami jedwabnemi i guziczkami, do figury.

Pomimo takiego szczęścia Basia bardzo smutną była; jakieś niespokojne myśli dręczyły jej serce. Przyszły wspomnienia matki, ojca, wioski, krewnych, i łza jak perełka zalśniła w źrenicy. Goście weselni dochodząc już

do cmentarza z ulicy zwanej Przyrynek, spotkali dwóch milicyantów, prowadzących trzy kobiety w łachmanach odartych, prawie bose, brudne: włosy rozczochrane, bezwstydność w spojrzeniu.

— Patrzaj, jaka strojna panna młoda, rzekła z nich jedna.

— Czyś ślepa, nie widzisz, to nasza Basia, ktoby się był spodział?

— A prawda!

Basia usłyszawszy swe imie, odwraca się i widzi swoje krewniaczki tak sromotnie prowadzone.

Wyrwawszy się od gości, pobiegła do pani swej i prosiła, aby jej pozwoliła pobiegnąć do domu.

I pobiegła szybko; towarzyszył jej pan Kasper. Opowiedziała mu wszystko, wydostała ze swej skrzyneczki, 3 spodniczki, trzewiki, pończochy, i po 5 złotych zawinąwszy dla każdej, przybiegła, gdzie jej krewne przed szynkiem drżały od zimna, wódką się rozgrzewając, której im ktoś z łaski kupił.

Ze łzą w oku, jak anioł pocieszyciel rzekła do nich nieśmiało:

— Przyjmijcie odemnie, na co mnie stać, i nigdy nie zapominajcie o siostrze swej Basi. Tłuszcza ludu się zebrała, co to słyszała i podzielała; winszowali panu Kacprowi takiej żony, a zewsząd głosy dochodziły: niechaj jej Bóg błogosławi.

Bóg widno wysłuchał, bo państwo Kasprowie mają imie uczciwe. Pani Kasprowa nie zmieniła całkiem ubioru; przystrojona w czepeczek, w kaftan, albo jak ona nazywa, okrywkę watowaną, chodzi w niej wszędzie, mówiąc: kto całkiem ubiór swój zmienia, to z nim wiarę i serce odmienia.

Kiedy w kilka tygodni po ślubie chciała się dowiedzieć o swych siostrach i usilnie się o to starała, i cóż się o nich dowiedziała?

Marysia okryta ranami ciężkiemi, umarła w szpitalu.

Józię oddano do domu wyrobnego, jako już nałogową pijaczkę.

Kasia gdzieś uciekła ze służby, dopuściwszy się kradzieży.

Zapłakała pani Kasprowa nad losem swoich siostr: mój Boże! do czego to próżniactwo służących, obgadywanie państwa, przemienianie częste służby młode dziewczęta doprowadziło!.. a gdyby nie były się wstydziły, że są chłopki, tylko pracowały, może i dla nich Pan Bóg jak dla mnie, okazałby łaskę i miłosierdzie swoje.

Rozmowa o Jeografii.

XI.

Jaś. Dawnośmy już o Jeografii nic nie słyszeli, a pamiętamy dobrze, że jeszcze o miastach gubernii Płockiej tata nic nam nie powiedział.

Ojciec. Prawda, prawda, za to teraz tém prędzej podążymy do końca, a zaczniemy od stolicy, czyli głównego miasta gubernii, od *Płocka.* Starożytne to miasto, jedno z najdawniejszych w Polskiej ziemi, już lat blizko tysiąc istnieje, a słynie w dziejach naszych nie tyle z walk z obcymi wrogami, ile z zapasów książąt Płockich z innymi książętami polskiego kraju.

Jaś. To dawniej było oddzielne księstwo Płockie?

Ojciec. Było i stanowiło część Mazowsza. Po podziale Polski przez Bolesława Krzywoustego w r. 1139 na cztery części, Mazowsze dostało się drugiemu synowi Krzywoustego imieniem Bolesławowi, którego Kędzierzawym nazywają. Kiedy książęta Mazowieccy się rozrodzili, ziemia Mazowiecka podzieliła się na kilka cząstek, z których każda także księstwem się zwała. Tak powstały księstwa: Płockie z miastem Płock, Czerskie z miastem Czersk, Dobrzyńskie z miastem Dobrzyń nad Wisłą i właściwe Mazowieckie z miastem Warszawa.

Jaś. Więc Płock i Warszawa leżą na Mazowszu?

Ojciec. Tak; a to Mazowsze było niegdyś jedną z największych części Polskiej ziemi, bo zajmowało nietylko całą dzisiejszą guberniję Płocką, część Warszawskiej, (powiaty Warszawski i Stanisławowski) część Augustowskiej (powiat Łomżyński i pół Augustowskiego), ale nawet za granicami dzisiejszego Królestwa Polskiego, całe Prussy południowe, gdzie miasta: Toruń, Chełmno, Szczytno,

Jansborg, to jest, ziemię leżącą na północ od gubernii Płockiej i na zachód od Augustowskiej.

Jaś. A to jak widać było silne księstwo, kiedy taką przestrzeń kraju zajmowało?

Ojciec. Niech ci się to, mój kochany, nie zdaje; obszar ziemi nie stanowi ani siły kraju, ani bogactwa ludu. Mazowsze było obszerném, to prawda, ale nigdy w niém nie było ani jedności między ludem, ani miłości między książętami; wiecznie jedna część ludu napadała na drugą, a książęta także ciągle się bili, to pomiędzy sobą, to z obcymi wrogami.

Jaś. O cóż to im chodziło?

Ojciec. Widzisz, kiedy Mieczysław I przyjął wiarę chrześcijańską roku 965, to zaraz ochrzcił i część Mazowsza, która mu była podległą, a mianowicie tę, która dziś należy do Królestwa Polskiego. Ale druga część, co to w Prussiech południowych leży, jakkolwiek była tegoż samego pochodzenia, tym samym językiem mówiła i dotąd mówi, nie chciała wyrzec się bałwochwalstwa i bożkom z gliny i drzewa się kłaniała. Ztąd nienawiść pomiędzy dziećmi jednej ziemi i jednej krwi; bo poganie chrześcijan nienawidzą, i radziby im wszelkie złe wyrządzić. Otoż Mazury pogańscy złączyli się z swymi sąsiadami Litwinami, których w tej części kraju Prusakami nazywano, i zaczęli od czasu do czasu napadać na Mazowsze chrześcijańskie, bić, palić, rabować, tak że ani Królowie Polscy, ani książęta Mazowieccy rady z nimi dać sobie nie mogli.

Jaś. A ostatecznie jakże sobie poradzili?

Ojciec. Zaczęli ich nawracać na wiarę chrześcijańską, i pierwszy Bolesław Wielki wysłał do nich Sgo Wojciecha, aby ten opowiadał Słowo Boże poganom.

Jaś. I usłuchali go poganie?

Ojciec. Nie; zabili go, a napadać na ziemie chrześcijańskie nie przestali. Ale dopóki cała ziemia Polska słuchała jednego pana, napady te nie były ani tak częste, ani tak niebezpieczne; skoro zaś tylko nastąpił podział Polski na części, zaraz i poganie głowę podnieśli a chrześcijanom pokoju nie dawali. Jeden z książąt Mazowieckich Konrad, który miał w Płocku swoję stolicę, uciekł się do środka, jaki uważał za najskuteczniejszy, to jest postanowił nawrócić pogan na wiarę chrześcijańską, ale przez Niemców.

Jaś. Dlaczego przez Niemców?

Ojciec. Bo trzeba było ochrzcić gwałtem, a Polacy nigdy i nikogo gwałtem uie nawracali, Niemcy zaś sławni byli z tego. Oni kiedy szli gdzie opowiadać religiję Chrystusa, religiję miłości i zgody, to nieśli w jednej ręce krzyż, w drugiej miecz, zalecali miłość, a sami szli z nienawiścią, żądali wyrzeczenia się bogactw, a sami łupili domy i świątynie.

Jaś. I nawrócili?

Ojciec. Nie tylko nawrócili, ale i wywrócili, bo całą ziemię Mazurów pogańskich i Prusaków podbili, sami się w niej rozgościli, i do dnia dzisiejszego panują.

Jaś. Ale też Konrad miał za to spokój.

Ojciec. Od pogan; ale za to Niemcy zaczęli mu dokuczać, i po niejakim czasie okazało się, że ci Niemcy jeszcze gorszymi byli od bałwochwalców, dla poskromienia których zostali wezwani. Bo widzicie, kiedy człowiek jest zły lecz głupi, to niewiele nam krzywdy może wyrządzić, zawsze to jakoś zasłonić się od niego można; ale kiedy człowiek jest zły a mądry, to już poczciwy od niego się nie obroni, bo go zły oszuka, okradnie, zrabuje i jeszcze wmówi, że to dla jego dobra czyni. Tak było, na nieszczęście Polski, z Niemcami, którzy za grzechy nasze i ojców naszych, krzywdy nam zawsze czynili i jeszcze się naigrawali i lżyli.

Jaś. Kiedyż to on ich wezwał?

Ojciec. W roku 1228, a w Płocku właśnie podpisaną była wzajemna ugoda.

Jaś. I długo też Płockie księstwo było udzielném.

Ojciec. Do roku 1459, kiedy zmarł bezpotomnie ostatni z panujących książę Janusz; poczém Król Polski Jan Albrecht złączył to księstwo z resztą kraju Polskiego, i odtąd miasto Płock stało się stolicą województwa.

Jaś. Cóż w nim dzisiaj jest godnego widzenia?

Ojciec. Przedewszystkiém katedra, nad brzegiem Wisły wzniesiona. Wprawdzie jest ona wybudowaną w czasach późniejszych, ale pierwotna, drewniana założoną została zaraz po przyjęciu chrztu świętego przez Mieczysława, a mianowicie w r. 966. W katedrze

tej spoczywają popioły dwóch królów Polskich: Władysława-Hermana i syna jego Bolesława Krzywoustego, którzy w Płocku pomarli. Tamże pochowanych jest wielu książąt Mazowieckich, którzy na Płocku panowali, i w ogóle ludzi sławnych w swoim czasie znaczeniem lub imieniem. Nie potrzebuję wam opowiadać o innych kościołach lub gmachach; bo też nic szczególniej zasługującego na opowiadanie w nich się nie znajduję. Dodam tylko, że Płock liczy blizko 13 tysięcy mieszkańców, między którymi przeszło 5 tysięcy żydów. Nieopodal od Płocka, ale już w gubernii Warszawskiej w powiecie Gostyńskim leżą trzy wsie fabryczne, o których także wspomnieć nam wypada. Jedna *Sanniki*, słynne swą cukrownią; 2 *Soczewka*, mająca najznakomitszą w kraju papiernię, która w niczém nie ustępuje fabryce rządowej, znajdującej się w Jeziornie pod Warszawą; trzecia *Rogożew*, w której jest fabryka likierów, wódek gdańskich i t. d. Z powiatem Płockim graniczy na zachód powiat Lipnowski, w którym miastem powiatowém jest *Lipno*, mające koło 4 tysięcy mieszkańców. Jest ono porządnie zabudowane, ale niczém szczególném się nie odznacza. Daleko ważniejszym od niego w historyi jest *Dobrzyń nad Wisłą*, w tymże powiecie Lipnowskim leżący.

Jaś. Dlaczego tata dodaje *nad Wisłą*?

Ojciec. Bo w powiecie Lipnowskim dwa miasta tak samo się nazywają, i dlatego dla rozróżnienia nazywają jedno *Dobrzyniem nad Wisłą*, drugie *Dobrzyniem nad Drwęcą*.

Jaś. Któryż z nich ma większe znaczenie?

Ojciec. Jeżeli się pytasz o czasy dzisiejsze, to ci powiem, że oba dzisiaj żadnego znaczenia nie mają, i chyba już prędzej wspomniałbym o Dobrzyniu nad Drwęcą, bo tam jako na granicy kraju, jest komora celna i samo miasto więcej ożywione; ale Dobrzyń nad Wisłą to nawet żadną starożytną świątynią pochwalić się nie może.

Jaś. Więc to widać nowo założone miasto?

Ojciec. Wcale nie; jest ono jedném z najdawniejszych w Polsce, ale tyle razy ulegało pożarom, zniszczeniom, rabunkom, że zamożniejsi mieszkańce do innych miast się powynosili. W najodleglejszych czasach, poganie pod imieniem Prusaków znani napadali na ziemie z prawego brzegu Wisły leżące, a jak poganie ucichli, Krzyżacy ich miejsce zajęli, i chociaż mieli właśnie chrześcijan bronić, napadali jednak na kraje polskie, palili miasta, zabijali ludzi, nie oszczędzając ani niewiast, ani dzieci, ani księży. Najpamiętniejszym jest ich napad z r. 1409 kiedy i Lipno i Dobrzyń, i inne miasta w tej stronie leżące, uległy zupełnemu zniszczeniu. Kiedy jeszcze poganie pruscy napadali na Polskę, książe Mazowiecki Konrad, ustanowił w r. 1217 zakon rycerzy Chrystusowych i osadził go w Dobrzyniu nad Wisłą, skąd też powszechnie nazywano ich braćmi Dobrzyńskimi.

Jaś. W jakimże celu Konrad zakon ten ustanowił?

Ojciec. Dla obrony kraju od pogan.

Jaś. I obronili kraj od pogan?

Ojciec. Nie, owszem sami w bitwach wyginęli, i wtedy to właśnie Konrad wezwał na pomoc Krzyżaków.

Jaś. Dla czego tata zakon ten nazwał zakonem rycerzy Chrystusowych?

Ojciec. Tak się oni sami nazwali, a nazwę Chrystusowych przyjęli, bo w imię Chrystusa wojowali.

Jaś. A czyż Chrystus kazał mieczem wojować w imię swoje.

Ojciec. Broń Boże; nigdy inaczej jak miłością i słowami pokoju. W dawnych jednak czasach inaczej pojmowano, a wreszcie było to tylko nadużycie w nazwie, bo ustanowienie dawniej zakonu rycerskiego znaczyło to samo, co dziś ustanowienie wojska stałego na obronę kraju. Było ono nie tylko potrzebném, ale nawet koniecznem. Na dziś będzie dosyć; o innych powiatach do dalszego czasu.

O wystawie rolniczej.

Na święty Mateusz, razem z jarmarkiem odbyła się w mieście Łowiczu Wystawa Krajowa płodów i wyrobów gospodarstwa wiejskiego, tudzież zwierząt domowych wszelkiego rodzaju. Zajęła ona wszystkich. Szeroko i głośno rozprawiano o niej wszędzie; błogie skutki sprowadziła dla niejednego — możebyście i wy byli ciekawi cośkolwiek się o niej dowiedzieć?.. Ważne to bardzo rzeczy; byłem ich świadkiem, opowiem tedy, com widział i słyszał.

Różne ludzie powynajdywali sposoby, ażeby sobie mogli wspólnie dopomagać do dobrego. Rozproszeni tu i owdzie po świecie, starają się od czasu do czasu zgromadzać w jakimś punkcie, aby jeden drugiemu coś doradził, powiedział, czegoś się nauczył i żeby jakoś lżej połączonemi siłami obowiązki życia swego wypełniał. Lecz gdyby się tylko na wspólną pogawędkę schodzić mieli, nie wielkiby był pożytek z takich zgromadzeń. Możnaby się wprawdzie dużo dowiedzieć i dużo nauczyć, ale rozszedłszy się, bardzo łatwo można zapomnieć o szczegółach. Otóż zaradzając temu, myśleli ludzie w ostatnich czasach, aby nie z próżnemi rękami na takie zgromadzenie przybywać.

Postanowiono, że każdy z przybywających ma przywozić ze sobą na pokazanie drugim takie rzeczy, któreby się najlepiej mogły przydać na świecie. W jakim kto zawodzie pracuje i co robi, niech się z tem przed drugimi pokaże, niech dowiedzie przecie, czem się odznacza, aby w danej potrzebie wiedzieć mogli wszyscy, w czem na kogo głównie można rachować i gdzie czego najlepiej szukać. To właśnie dało początek *wystawom*, dlatego tak nazwanym, że na nich *wystawiają się* różne ciekawe rzeczy na widok wszystkich, chcących owoce pracy ludzkiej oglądać i z dobrego przykładu korzystać. W obliczu pracy wszyscy ludzie są równi, wszyscy się jednakowo poważają, a ten z nich wyższy, z którego pracy większy dla bliźniego pożytek. Na wystawach więc zgromadzają się różnego stanu i różnego powołania ludzie, a wszyscy podają sobie dłoń zgody i szacunku pod ogólnem godłem dobra powszechnego. Możecie pojąć, jakie to piękne skutki z wystaw płyną dla ludzi. Słyszeliście może o sławnych wystawach w Londynie i Paryżu. Z całego świata ludzie popisywali się na nich ze swoich prac i płodów przyrodzonych. Zjeżdżały się krocie tysięcy z różnych narodów; oglądano, podziwiano i zakupywano mnóstwo rzeczy, robiono z resztą obstalunki różne, i nie jeden kraj tam dopiero zrobił sobie sławę, która mu w późniejszym casie wielkie przynieść może korzyści.

Oprócz tego w każdym kraju z osobna robią się corocznie wystawy mniejsze, jednak kraj głównie obchodzące, które bywają albo ogólne, gdzie wszystkie wyroby mają pomieszczenie, albo też szczegółowe, gdzie tylko z jednego zawodu ludzie przedstawiają swoje prace.

I u nas rzecz ta od pewnego czasu się praktykuje. Miewaliśmy wystawy ogólne przemysłowe w Warszewie, i co rok na jarmark świętojański wystawy zwierząt. Lecz jakoś nie cały kraj brał w nich należyty udział, mianowicie wystawy rolnicze jakoś bywały nieodpowiednie, małe i bez wielkiego dla kraju znaczenia. Dopiero z łaski Rządu i za współdziałaniem Towa. Rolni. w Królestwie zaczęto myśleć o czemś lepszem. Wzięli się za ręce wszyscy właściciele ziemscy i wielu z ludzi innych zawodów, odznaczających się nauką, światłem i miłością dobra ogólnego. Władza też przyszła im w pomoc, i oto rozbudziło się inne życie, inny ruch. Wystawy nasze stały się powszechniejszemi, obudziły interes w całej ludności, a już w drugim niespełna roku błogie dla ogółu sprowadzają owoce. Coraz jakoś lepiej i coraz bogaciej; da Bóg, że nie ustając w pracy, pokażemy światu, że i my przecie nie ostatni.

Żeby o ile możności ułatwić to zgromadzanie godnych uwagi rzeczy na wystawach, obrano za punkt główny wystaw ogólnych Warszawę, jako stolicę, leżącą w środku kraju, a za ognisko wystaw rolniczych nateraz m. Łowicz przy kolei żelaznej i także mniej więcej w samym środku Królestwa Polskiego będący.

Przeszłego roku odbyła się tam pierwsza wystawa, a w tym już druga, o której właśnie pragnę wam coś opowiedzieć.

Wiecie, że corocznie przy końcu września odbywa się w tem mieście słynny na kraj cały i przyległe nam prowincye jarmark na Sty Mateusz, zgromadzający po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Otóż i te dwa powody stały się przyczyną, że Łowicz obrano teraz za główny punkt wystaw krajowych rolniczych.

Nie przestają wszakże ludzie poczciwi na tym jednym punkcie; starają się po całym kraju rozlewać błogie korzyści wspólnego porozumiewania się na wystawach. Towarzystwo Rolnicze urządza po okręgach i powiatach cząstkowe wystawy, gdzie jako i na wielkiej wystawie, nie szczędzi zachęt i nagród dla tych, którzy w czem doskonałem celują. Dobre

skutki tu i owdzie czuć się już dają. Później uwiadomię was o tem wszystkiem. Dziś posłuchacie tylko o wystawie Łowickiej.

Miasto Łowicz jest jednem z najstarożytniejszych miast kraju naszego. Przechodząc różne koleje, było długi czas siedzibą i stolicą arcy-biskupów Gnieźnieńskich, prymasów rzeczypospolitej polskiej; dziś jest stolicą księztwa łowickiego i miastem powiatowem. Ma kilka pięknych kościołów, między któremi odznacza się kollegiata swoją piękną budową, bogactwem i zabytkami przeszłości, oraz śliczna kaplica w gmachu ks. Missyonarzy, fundowana przez rodzinę Radziejowskich.

W tym roku jarmark był niewielki, ale za to wystawa o wiele przewyższyła przeszłoroczną.

Pójdźmy tedy i przypatrzmy się jej zbliska. Dnia 19 września r. b. odbyło się uroczyste jej otwarcie. Naprzód wysłuchano nabożeństwa w kollegiacie, które się skończyło około godziny 12 w południe. Napływ ludności był wielki. Wysocy dygnitarze, panowie, mieszczanie i wieśniacy, kupcy i sprzedający, wszystko to pospołu się połączyło myślą jedną, myślą dobra ogólnego. Ztamtąd udano się na wystawę, a zaraz wybrani sędziowie zajęli się ocenieniem przedstawionych płodów i rzeczy.

Urządzenie wystawy było następujące:

Oddział pierwszy zawierał: *płody rolnicze i przemysłu gospodarsko-wiejskiego*, umieszczone w gmachu ks. Missyonarzy. Pójdźcieno za mną i przypatrzcie się, jakie to mieszczą się tutaj bogactwa! Naprzód zboże w ziarnie i snopie, wyroby lniane i bawełniane, oraz owoce prześliczne zwracają wszystkich uwagą. Piękna pszenica *sandomierka*, żółto-czerwonawa, biała *kujawka* i inne tym podobne; żyto polskie i zagraniczne, u nas uprawiane, jęczmienia 10 gatunków, owsa jak najprzedniejszego 14; rzepak zimowy i letni, nawet tak nazwany *biwic*, szczególny gatunek; prosa żółte, czerwone, białe i czarne, wreszcie ber i z niego jagły, a kartofli paręset odmian obudzały ciekawość zwiedzających. Dalej szły rośliny pastewne, jak: koniczyna, lucerna, kukurudza, sporek, tymoteuszka, rzepy, buraki i t. p. wszystko w jak najlepszym gatunku. Z Augustowskiego prześliczne lny i konopie, a znów rośliny farbierskie, jak: marzanna czyli krap czerwony nadesłane zostały z Rawy i Brzezin rawskich. Siano tak zwane *brunatne*, sztucznie suszone z dóbr Maluszyn znad Pilicy zgromadzało około siebie wielu ciekawych gospodarzy. Z ogrodnictwa ogromna massa różnych owoców, warzyw i nasion.

Idąc dalej, spotykamy płody jadwabnictwa naszego krajowego. Były tam morwy, kokony i ich jajeczka. Jakież to wrzystko pocieszające, jakieżto kiedyś bogactwa z tego być mogą!... Tu znowu dalej występują pszczółki nasze pracowite. Prześliczne ich domki czyli ule nadesłał zacny ksiądz proboszcz Dolinowski ze wsi Hańska z powiatu Radzyńskiego. Jeden mianowicie jego własnego pomysłu zajął ciekawość publiczną. Pokazało się, że przewyższa wszystkie, przez zagranicznych pszczolarzy wymyślone. Za to też dostał wspaniałą nagrodę, medal wielki srebrny. Miód lipiec, sławny nasz lipiec, nadesłany został w lipówce misternie wyrobionej z powiatu Maryampolskiego znad Niemna. Nie obeszło się i bez pieczywa i mąki rozmaitego gatunku; gospodynie nasze pilnie się przypatrywały temu oddziałowi, najwięcej zaś ślicznym kaszom i kaszkom, tak przennym, jęczmiennym, jako i tatarczanym. Nakoniec były tam trunki i napoje, rozmaite nalewki, a jeżelibyście dobrze się wszędzie przypatrywali, znalazły się i pijawki hodowane starannie, i ryby piękne (łososie), wreszcie z leśnictwa, nasienie brzozy i sosny, węgle, smoła i terpentyna. Lecz najpiękniejszą częścią wystawy w tym oddziale, jak już wspomniałem, były *wyroby wełniane* i *lniane*, dostarczone z własnego wyrobu przez włościan naszych i włościanki. Księstwo Łowickie i gubernia Augustowska najlepiej się odznaczyły. Różne zapaski, okrywki i kilimki, płótno i t. p. wyroby były podziwieniem i pociechą dla wielu. Nie potrzeba szukać wymysłów zagranicznych. Żeby wam dać wyobrażenie, co to tam było, dość jest wspomnieć, że 150 wystawiających przedstawiło 320 gatunków lnianych i wełnianych wyrobów. Wszystkie zasłużyły na pochwały i nagrody, o czem nadmieni się szczegółowo na końcu.

(Dokończenie nastąpi).

W druk. J. Ungra.—Wolnodrukować.—Warszawa d. 4 (16) października 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*